

# Kłusownicy, czyli podróż Liolika na Żmijową Górę

Lembit Korojedow

## Kamień

Cały czas tam leżał: i za Niemca, i za cara, i za ziemianina Jurowa. Zwyczajny granit czarno-szary, kwintal wagi, podobny do tych, na jakich w rosyjskich bylinach malowano drogowskazy dla bohaterów, tylko trochę mniejszy. Kto i dokąd mógłby zabrać taki ciężki kamień, który nikomu nie przeszkadza? Po prostu sobie leżał. Wcześniej, jeżeli dobrze pamiętam, leżał wprost na rogatkach pod płótem baby Lipy, niczym znak „tutaj zaczyna się wieś”. Tablicy przydrożnej nigdy nie było, a kamień był zawsze. Później komuś przyszło do głowy, żeby napisać na kamieniu nazwę wsi – *Jurjuwka*, żeby tak po prostu nie leżał, czemuś służył. Wtedy kamień nie był już po prostu kamieniem, stał się drogowskazem i przedmiotem ważnym dla społeczności. Aż Koka Topalow ukradł kamień. Bardzo prawdopodobne, że bez pomocników, bo dla Koki unieść kwintal kamienia to małe piwo. Ukradł i położył go przed swoją kawiarnią, pomalował na zielono i napisał na nim czerwonymi literami – „Kawiarnia Cuma”. Wielu się to nie spodobało. Nie tylko dlatego, że kolor był obrzydliwy, ale też z powodu autobusów. Wcześniej autobusy, które przyjeżdżały do wsi, zatrzymywały się obok kamienia. Kierowca patrzy – kamień leży obok kawiarni, więc autobusy zaczęły zatrzymywać się właśnie tam. Ludzie mówią, że Koka specjalnie ukradł kamień, żeby autobusy wysadzały pasażerów blisko jego kawiarni, dla większego zysku. Niechby go ukradł, gdy był to jeszcze zwykły kamień, ale na nim była już nazwa gminy, a to znaczy, że kamień należał do wsi, a nie wyłącznie do Koki. Powinno mu być wstyd. Ojciec Koki, Spir, już w młodości miał oko na kamień, a Koka ot tak zabrał go, całkiem bez pytania. Co prawda, później także Koce kamień został skradziony i niespodziewanie pojawił się przed biblioteką, pomalowany cały na czarno z napisem „Biblioteka”. Podejrzanie od razu padło na dziadka Andrieja, który ma już sto lat, jest żyłasty i brzydki niczym Kościej

Nieśmiertelny. Przenieść kamienia być może staruszek nie dałby rady, ale bez problemu mógł poturlać go po ziemi. Kiedy Koka zobaczył, co się stało, wściekł się, ale z dziadem Andriejem nie można zadzierać, z powodu Tito Iwasienko...

### Sierioża Siermjagin...

...i tajemnica imienia. O tym, że Ławr Beria nie jest jego rodzonym ojcem, oczywiście dobrze wiedział. Niby jak Ławrik mógł być jego ojcem, skoro różnica wieku między nimi to ledwie dwanaście lat. Marija, jego prawdziwa matka, gdzieś przepadła po porodzie, ale on zawsze wiedział, że jest jej synem. Czekał na nią i cieszył się, kiedy wróciła. Ławrika traktował jak brata, odkąd tylko zaczęli chodzić razem na spacer. Sam Ławrik nigdy zaś nie pretendował do roli ojca Sierioży, ale tak się zdarzyło, że najpierw go wychował, a później ożenił się z jego matką. Stało się to dopiero po wojnie, kiedy Ławr dorósł już do małżeństwa z dojrzałą kobietą i w końcu dał Sierioży nazwisko Siermjagin. Do tego czasu Sierioża nie miał nazwiska, a może miał nazwisko matki... Chyba już nikt tego nie pamięta, zresztą, kogo by interesowała metryka małego chłopca?

Sierioża nie dopytywał Ławrika o swojego ojca. Matce też nie zadawał pytań – kochał ją, a Ławrika, jako ojca i brata, ubóstwiał, więc dlaczego miałby ich gnębić? Próbował sam się dowiedzieć. Słuchał uważnie, kiedy ktoś we wsi powie coś przypadkiem, przejęczy się, i po trochu układał puzzle swojej historii. Bóg jeden wie, co sobie poukładał w głowie, ale był zadowolony: żył w przekonaniu, że jego ojcem był sam lejtnant Orłowski, bohaterski lotnik, który zginął na froncie. Wyszło mu, że matka nie opowiada o Orłowie, bo wciąż cierpi. Na tym zakończył Sierioża swoje poszukiwania i nie przyszło mu nawet do głowy, że nikt nie ukrywałby pokrewieństwa z bohaterskim lotnikiem. Lepiej wierzyć w przyjemne historie, niż całe życie się dręczyć.

W domu od zawsze było pewne przedwojenne zdjęcie, na którym Marija jest jeszcze młoda i piękna tak, jak piękne są wszystkie kobiety na starych fotografiach. Ma płomiennie rude włosy i białą suknię ze wzorem, którego nigdy nie można dokładnie rozróżnić na starych zdjęciach. Siedzi na odwróconej do góry dnem łódce, a bosa nogi ma zanurzone w piasku. Łódka to stary, czarny, olbrzymi przedwojenny barkas, który mocno kontrastuje z suknią Marii, białe przeciwko czarnemu. A obok niej młody mężczyzna, który pewnie obejmuje ją za ramiona. Ubrany jest w białą koszulę i szerokie spodnie, swoje jasne blond włosy zaczesał do tyłu, wszystko zgodnie z obowiązującą wtedy modą. Najważniejsze, że to zdjęcie zawsze było w domu i nikt go nie chciał wyrzucić, najwyraźniej Ławrik nie miał nic przeciwko tym objęciom. A skoro Ławrik nie miał nic przeciwko, to Sieriożka czuł, że może zapytać o mężczyznę z fotografii. I zapytał.

Zapytał i matkę, i Ławrika, niby przypadkiem, podczas przeglądania albumu. – Orłowski – odpowiedziała mama i zdziwił się Sieriożka, że odpowiedziała jakoś dziwnie obojętnie, jak nie mówi się o ukochanym. Możliwe, że z powodu +

upływu lat, pomyślał Sieriożka, ale przecież nie minęło w końcu aż tyle czasu. Ławrik był bardziej rozmowny:

– To lejtnant Orłowski – powiedział patrząc na fotografię. – Lotnik – dodał – zginął w czasie wojny na froncie.

Oto całe świadectwo, jakie udało się Sieriożce zdobyć o lotniku Orłowskim, na podstawie którego wysnuł wniosek, że to jego ojciec. Czarną dziurę jego wątpliwości, wywołaną obojętnym tonem matki, przegnał ze swojej głowy.

Na fotografii znalazł się też Ławrik, jeszcze jako młody chłopiec. Siedzi na tej samej łódce, ale nieco dalej od Marii, żeby przypadkiem nie musnąć jej łokciem. Tak samo jak Orłowski ma zaczesane włosy do tyłu, koszulę z podwiniętymi rękawami i szerokie spodnie. Tyle że Orłowski wygląda na eleganta, od razu widać, że miastowy, a po Ławriku widać, że to robotnik, chłopiec z ludu. Sierioża lubił w dzieciństwie oglądać fotografię i wymyślać różne historie. Oto siedzi jego matka Marija w objęciach lotnika lejtnanta Orłowskiego, a Ławrik, dziecko jeszcze, przysiadł nieco dalej. Na pewno jest już w niej zakochany i marzy, żeby siedzieć na miejscu Orłowskiego. Ledwie wojna się skończyła, mały Ławrik dopiął swego.

Widocznie tak było pomyślane, żeby razem we trójkę siedzieli na tej łódce i pięknie wyglądali na fotografii. Ale nie do końca udało się tak, jak sobie zaplanowali. Na zdjęciu znalazły się też inne postaci, które dostały się na nie dzięki sprytowi. Jeden chudy z garbem na nosie i odstającymi uszami, zadowolony z siebie stoi wyciągnięty na łódce. Specjalnie podskoczył, żeby znaleźć się w kadrze i popsuć fotografię. A drugi, taki sam łajdak, wypełza niczym żmija zza łódki i złośliwie gapi się w obiektyw – patrzcie, jakie z nas chwaty! Nie zapraszali nas, a jesteśmy! Ten, który stoi, to Spira Topalow, jeszcze z dwoma nogami. A *żmijka* to Wowka Iwasienko, zwany Tito na cześć Josipa Broza, chytry niczym żmija. Z jakiegoś powodu fotograf uwiecznił na zdjęciu wszystkich. Dlaczego? Nie wiadomo i już nikt go o to nie zapytał. A kto miałby pytać? O fotografach nikt nie pamięta. Oglądając stare zdjęcia, nikt się nie zastanawia, kto je zrobił. Sierioża też o tym nie myślał.

Tajemnica imienia chłopca to prawdziwa zagadka. Zastanawiał się czasami mały Sieriożka: dlaczego w całej wsi tylko on jeden Sierioża? Później w latach siedemdziesiątych takich Sierioży było jak grzybów po deszczu, z jakiegoś powodu na Sierioże nastąpiła moda. Ale wtedy Sierioża Siermjagin przestał już myśleć o tajemnicach przeszłości, którym w dzieciństwie poświęcał tyle czasu. Kiedy Sierioża był mały, we wsi, bez wyjątku, byli sami Iwani, Wisilije i Nikołaje. Wśród Greków bardziej popularne były imiona Siemion i Fiedor, po wsi chodzili też Konstantini i Leonidzi albo Spiridoni, jak Spira Topalow, chociaż on akurat głównie siedział. A Sierioża był jeden, Siermjagin. I to nawet nie Siergiej! W dzieciństwie zdrobnienie można jeszcze zrozumieć, ale jego Sieriożą nazywano przez całe życie, jakby cały czas go wyśmiewano. Nie dostał też nigdy przydomka, widać *Sierioża* było już wystarczającym przydomkiem i kolejnego wcale nie trzeba. Całe jego dzieciństwo toczyło się na wsi, później wyjechał do

szkoły do miasta, a kiedy wracał na wakacje, znów wszyscy wołali na niego Sieriożka. Po szkole poszedł pracować do fabryki, został inżynierem, poważnym człowiekiem, a gdy wracał na urlop do domu łowić ryby z Ławrem, z powrotem stawał się Sieriożką. Kiedy poszedł do więzienia, oczywiście z szacunkiem mówili do niego Siermjagin, jak należy, a gdy wyszedł, wrócił na wieś i znowu...

## Miron Siermjagin

Miron Siermjagin miał ośmioro dzieci: cztery córki i czterech chłopców. Kiedy zaczął się głód, dwoje najmłodszych zmarło: chłopiec i dziewczynka. Pozostałe dzieci i zmęczoną chorobą żonę wsadził Siermjagin na furmankę i pognął, gdzie oczy poniosą, na szczęście pracował jako cieśla wolnonajemny i nie był przywiązany do skrawka ziemi żadnym dekretem. Nim dojechał do Rostowa, stracił dwoje kolejnych dzieci, znów najmłodszych. Po drodze pochował też żonę i matkę swoich dzieci, Nastię. Pozostałym udało się przeżyć. Niesamowicie, że w Rostowie w sklepach sprzedawano cały chleby, a na bazarze – smalec. Po przyjeździe Miron zostawił wóz na dworcu, dał dzieciom bochenek chleba i kawałek smalcu, a sam poszedł do centrum szukać zatrudnienia. Praca w zasadzie już na niego czekała – został zaproszony przez rekruterów do pracy w kołchozie. Dostał nawet domek i pieniądze na start. Cuda, pomyślał Miron, z piekła do raju na furmance przyjechałem. Jedynie drogę Miron okupił ceną pięciu dusz. Mógłby tak żyć cudownie w rostowskich stronach, ale nie wytrzymał stary Siermjagin, bo chorobliwie lubił pić. Niewielki to grzech dla Rosjanina, jeżeli potrafi połączyć wódkę z pracą. Ale Miron do takich nie należał; kiedy pił, to na umór. Nie był niezastąpiony, więc zrozumieli, że chcieli mu zabrać domek i wygnać z kołchozu: cieśla to popularny zawód, giełdy pracy pełne są głodnych przesiedleńców. Ale krajanie Mirona, powołańscy uciekinierzy, prawdziwi Ukraińcy, którzy przyjechali w ślad za nim, wyciągnęli do niego pomocną dłoń. Mówili, Rostów to nic, pojedziemy na Ukrainę do Azowa, tam dopiero jest pańskie życie: możesz pracować w fabryce, tam wszystkich biorą i będziesz hegemonem, a dla hegemonu żaden głód nie jest straszny. A jeżeli wolisz dalej wśród chłopów się włóczyć, to ziemi ci tam pod dostatkiem – dają każdemu, kto tylko zechce. Po tych słowach uwierzył Miron, że jest Ukraińcem, i na tej samej furmance pojechał do Azowa. Zaledwie dwoje dzieci z nim zostało: starszy Iwan i młodszy – Ławrik. Córki w Rostowie zdążyły już dorosnąć i powychodzić za mąż za towarzyszy partyjnych oddelegowanych na wioski w sprawach państwowych. Starsza, Jewdokia, wyszła za mąż za towarzysza Pawznera, prawie-z-samego-Leningradu. Młodsza, Marfa, wyszła za towarzysza Ciobitko, prawie-z-samej-Moskwy. Niestety towarzysza Pawznera po kilku latach zesłali na Sybir, a może rozstrzelali, i ślad po Jewdokii zaginął. Natomiast towarzysza Ciobitko w sprawach związanych z partią wysłali do Turkmenistanu, skąd Marfa listów już nie przysyłała.

Przyjechawszy do Azowa Miron nie został hegemonem, bo miasto mu się nie spodobało. Mimo że był cieślą, to słoma mu z butów wystawała, a wieś pozostała bliższa jego sercu. Poza tym w mieście panuje dyscyplina, nie można przy piecu hutniczym rozsiać się z butelką wódki, a na wsi można... Na wsi Miron znalazł coś więcej niż kołchoz, dosłownie lepiej trafić nie mógł: tam, gdzie dotarł, kołchoźnicy nie orali pola, tylko wychodzili w morze na szkunerach i barkasach łowić ryby. Kołchoz rybacki dla cieśli oznacza wolność. Łódki raczej się nie psują, latem barkasy trzeba tylko wyczyścić po trudach zimy, a później można cały rok odpoczywać. Od czasu do czasu wystarczy pozbijać jakieś ławki, w sumie trzy deski i cztery gwoździe, albo naprawić ramy okienne. Zadowolony Miron i na dobre osiadł na brzegu morza. Ścisłej mówiąc, położył się Miron w spokojnym miejscu, żeby odpocząć od życia. Takiego ojca zapamiętał Ławrik na zawsze – leżącego po pijaku w pracowni na dopiero co zbitej ławce.

– Śpisz, ojciec? – pytał Ławrik.

– Nie śpię, Ławriku, myślę – odpowiadał Miron, spoglądając na syna pijanym wzrokiem. – Jakbyśmy konia zjedli, może wszyscy by żywi doszli jakoś pieszo?

– Nie doszliby, ojciec – odpowiadał wtedy Ławrik.

– Tak myślałem – uspokajał się Miron i zasypiał. I przeleżał tak pijany prawie do samej wojny. Tuż przed wojną dostał udaru mózgu i po ojcu został Ławrikowi jedynie fach cieśli, a jego bratu Iwanowi umiejętność wypicia litra wódki bez zakąski. Jakaż ironia, że to Iwan był zdrowy jak koń, cerę miał rumianą, włosy jasne, a plecy mocne i szerokie jak u bohaterów staroruskich bajek. Nie bez powodu otrzymał potężne imię Iwan, cały ojciec. A Ławrik odwrotnie, wdał się chudzina w chorowitą matkę – anemiczny rudzielec ze słabym wzrokiem, co u wiejskiego chłopca jest nie do pomyślenia. Dostał nawet okulary od lekarza. Jednym słowem – Beria, chuchro i...

## Żmijanka

Być może wielki uczony Lew Gumilow umiałby w sposób naukowy dowieść, czym jest góra Żmijanka, kiedy i jakie pod nią wydarzyły się piętrenia, dlaczego wszystkie skały wokół niej są regularnie rozłożone, dając schronienie i wyżywienie rdzennemu mieszkańcowi naszych małych głębin – azowskiej babce byczej. Wzdłuż całego brzegu dno jest muliste, a w pobliżu Żmijanki zdradliwe podwodne góry i jaskinie. Zdarza się, że dopływa tam na łódce niczego nieświadomy turysta, bo to ledwie dwa kilometry od wsi, słońce przygrzewa i nierozumny przybysz decyduje się zanurzyć w morzu dla ochłody. Wskoczy taki z łódki głową do wody prosto na kamień i przyjdzie pisać telegram do krewnych do Workuty: „Urlop zakończył się tragicznie”. Miejscowi o zagrożeniu wiedzą z własnego doświadczenia, każde dziecko ma na głowie bliznę i zapamiętuje, że do wody można skakać tylko na nogi, a i to bardzo ostrożnie.

Tak się złożyło, że na górze nie mieszkają ludzie. Co prawda, został stary rybacki znak *Morożyi* wgłębienie w skale widoczne tylko dla tych, którzy wiedzą, cze-



go szukają. Nazwa jakoby wzięła się od nazwiska pewnej rodziny, która kiedyś tam mieszkała. Młodzi tych czasów nie mogą pamiętać, a samo gospodarstwo już dawno zniknęło. Dziś jest tam pole kukurydzy i teren wojskowy, obydwa pojawiły się tuż po wojnie. Po prawdzie to pole kukurydzy też jest terenem wojskowym, objętym ścisłą tajemnicą: ustawiono w nim rakiety widoczne z ziemi i powietrza. Choć z ziemi widać, że rakiety są blaszane i nieprawdziwe, niby wyjęte z placu zabaw, to z powietrza podobne są do nie-wiadomo-czego. Być może wprowadzają w błąd urojonego przeciwnika. Ludzie tutaj nie myślą o tym wiele, teren wojskowy jest, a co się tam znajduje, Bóg raczy wiedzieć. Jedni mówią, że w środku wojskowi mają taką samą wioskę jak każda inna, tyle że biedniejszą, z krowami, rowerami i małymi brudnymi dziećmi. Inni mówią, że znajdują się tam prawdziwe rakiety, długie na trzy domy, jak na paradzie na Placu Czerwonym. Ale to wszystko są bajdy, nikt z miejscowych nie wie na pewno, co się dzieje za płotem z drutu kolczastego. Wojskowi nie przychodzą do wsi na zakupy, więc nie ma żadnego przecieku informacji. Tylko skąd oni biorą wódkę, czyżby z samego miasta?

Wojskowa zona dostarcza miejscowym dużo rozrywki. Po pierwsze, *bum-bum*, kiedy strzelają raketami do celu. Siądzie człowiek w południe do obiadu na werandzie, naleje sobie pięćdziesiątkę, usta otworzy ze smakiem, a tu *bum-bum*. Drżą szyby w oknach i kieliszek w ręce, wódka rozlewa się bez sensu. „Dywiszja twoja mać!” – przeklina wtedy człowiek w sercu. Dlatego u nas częściej pije się z kubków, żeby nie rozlewać. I to samo, kiedy na ryby wypływasz w morze. Flauta, słońce w głowę grzeje i ryba nie bierze, aż tu nagle na niebie zjawia się samolot z tarczą na ogonie. I wszyscy na łódkach licytują się: trafiają – nie trafiają. I znowu *bum-bum!!!* Dywiszja twoja mać!

Poza kukurydzą o znaczeniu wojenno-strategicznym więcej upraw na Żmijance nie ma. Niewygodna to góra dla gospodarstwa rolnego. Kiedyś Ławr z Liołikiem byli na morzu, kiedy na Żmijance traktor orał pole: tam i z powrotem, w prawo i w lewo, do góry i na dół, tam i z powrotem, w prawo i w lewo, do góry i na dół, aż w końcu spadł do morza. Od tamtego czasu nikt już traktorów na górze nie widział.

Na Żmijanę trafiają też nudyści i topielcy. Diabli wiedzą, kiedy pojawili się ci pierwsi, pewnie w latach 60., kiedy przemysł samochodowy był u szczytu i te dzikusy znalazły sobie tu piękne, ustronne miejsce bez ludzi i milicji. Topielcy to najczęściej pionierzy z okolicznych obozów, ukochali sobie Żmijanę, choć nie na własne życzenie, tylko z woli przyrody. Nie ma u nas innego miejsca, gdzie może się podziać topielec; choćby okoniem stawał, jego droga prowadzi wprost na Żmijanę. Tam wynosi każdego, komu woda odebrała życie. Wielki uczoney Lew Gumilow na pewno umiałby wyjaśnić także ten fakt, ale miejscowym dokładne wytłumaczenie nie jest potrzebne – mówią, że to wiatr i prądy, i już.

Jakieś pół wieku temu Marii przysnił się tragiczny sen i po wsi rozniosła się wieść, że jest wiedźmą, skoro takie rzeczy widzi. Nie wstydząc się Ławrika, jeszcze zaspana Marija wyszła przed dom w samej koszuli nocnej, z rozczono-

chranymi rudymi warkoczami. Zresztą czego tu się wstydzic, była już wtedy panienką na wydaniu z Orłowskim, a Ławrik był jeszcze małym chłopcem. Wyszła na dwór prosto do umywalki, żeby umyć twarz. Myje się, wodą buzię opryskuje, a w międzyczasie opowiada Ławrikowi sen.

– Widziałam – mówi – twojego brata Iwana. Leżał jakby w trumnie ze świecą w rękach, w ciemnej jaskini. A jaskinia, dobrze wiem, na Żmijance – spokojnie opowiadała, bez strachu, jakby koń jej się przyśnił albo pomarańczowy pies. I stał tak Ławrik, słuchał, uśmiechał się głupio i patrzył na warkocze Marii. Chociaż minęły już dwa dni, jak Iwana nie było we wsi, nikt na to nie zwrócił uwagi. Iwan nie lubił wylewać za kołnierz, bywało, że tygodniami po sąsiednich wsiach się z młodymi rozpijał i nikt nie wiedział, gdzie przepadł. Tylko baba Lipa, kiedy usłyszała sen Marii, szybko zdjęła fartuch i poszła wprost do kierownictwa rybackiego kołchozu. Tam przygotowali motorówkę i pół godziny później znaleźli ciało Iwana na Żmijance. Co prawda, nie w trumnie ze świecą, ale po prostu na kamieniach tuż przy brzegu. O tym, że Marija to wiedźma, zapomniano, kiedy wzdłuż brzegu wyrosły obozy pionierskie i wszystkich zaginionych w morzu pionierów zaczęto znajdować na Żmijance. Niezbyt to skomplikowana sztuka dostrzec we śnie prąd morski, a baba Lipa widać po to przed rewolucją uczyła się w gimnazjum, żeby sny tłumaczyć w odniesieniu do zjawisk przyrody.

A cóż to za żmije, którym góra zawdzięcza nazwę? W tym wypadku nie ma co wołać na pomoc wielkiego uczonego Lwa Gumilowa, bo miejscowi i tak wiedzą swoje. Mówią, że żmije przypełzają na Żmijankę tylko w ciężkich czasach. Jak wojna się zaczęła, mówią, to na Żmijance było gniazdo żmij, a później jakoś same uciekły, jak na rozkaz partii przepadły gdzieś w latach rozkwitu socjalizmu. A teraz dupokraci przyszedli do władzy, rozpadł się wielki ZSRR, przez co Żmijanka trafiła na niepodległą Ukrainę i żmije znowu się pojawiły, pływają w morzu i straszą turystów. Zacołania nie można z ludzi wytepić. Oni by jeszcze nudystów...

## Poranek

„Liolik, wstawaj!” – i idzie dalej; jeżeli Liolik nie wstanie, to Ławr sam popłynie na ryby, dwa razy wołać nie będzie. Choć pewnie by wrócił i zawołał, ale nigdy nie musi. Liolik od razu zrywa się na równe nogi i biegnie w ślad za druhem, żeby tylko Ławr nie wyszedł w morze bez niego. Kiedy Liolik przybiega do kuchni, Ławr już tam jest, siedzi przy piecu i pije herbatę, przesuwając pogrzebaczem metalowe ruszty. Na stole stoi patelnia z pieczonymi kartoflami, Marija wstała jeszcze przed nimi i przygotowała śniadanie. Ławr pije tylko herbatę, już taki ma organizm chudzina, że nie potrzebuje kartofli od rana. Za to Liolik chętnie wzmocni się ulubionymi kartoflami przed szkołą i połowem. Szczególnie mu smakują kartofle z jajkami, których babcia nigdy nie gotuje, zawsze robi jaja albo ze smalcem, albo same kartofle. Pewnego razu,

jak ojciec wrócił z więzienia, też tak przysiadł w kuchni przy piecu i zwrócił się do Liolika:

– Synek, chcesz jeść?

– Tak – odpowiedział mały. Wtedy ojciec usmażył mu kartofle, a na wierzch wbił jajka i zamieszał. Bardzo smaczne. Babcia tak nie gotuje, jedynie ojciec i to tylko jeden jedyny raz.

Przed wyjściem w morze trzeba przygotować kosz. To zadanie Liolika, Ławrowi nie wypada ze względu na rangę. Zresztą co tu przygotowywać, skoro wszystko już gotowe: wędki, które Ławr wieczorem naprawił po wczorajszym połowie, haczyki zapasowe w pudełku po zapalkach też już spakowane, ciężarki, nóż i żyłka. Liolik musi jeszcze tylko poprosić Mariję o kawałek wołowiny na przynętę i o chleb, mleko, smalec i gotowane jajka na drugie śniadanie. Najważniejsze, żeby nie zapomnieć o koszu! Powiecie, że to się nie może zdarzyć komuś, kto codziennie wypływa w morze? Ja wam powiem, zdarza się! Każdemu rybakowi się zdarzyło zapomnieć o koszu ze sprzętem, choćby jeden jedyny raz. Ławr zapomniał kiedyś nie tylko o koszu, ale też o wiosłach... Bywa, że odpchnie taki rybak łódkę od brzegu, wskoczy do środka, zapuści silnik i... Niech mnie piorun! O wiosłach zapomniałem! Bywa. Już nie mówiąc o nożu. Rano Liolik musi bezwzględnie sprawdzić, czy w koszu jest nóż. Ławr wieczorem naprawiał łódki i mógł zostawić go na ławce w podwórzu. Przecież Ławrowi to się nigdy nie przytrafi, on zawsze odkłada nóż na miejsce, a mimo to kilka razy popłynęli na połów bez noża. Kto winien? Liolik!

– Lepiej byś o własnej głowie zapomniał! – mawia wtedy Ławr. – Niech cię piorun trzaśnie!

Skoro już zapomniałeś się o nożu, możesz wracać do domu, przecież zębami nie będziesz babek na przynętę rozgryzać. Od innych rybaków też nie pożyczysz, papierosa dadzą, ale noża – nigdy. Powiedzą „nie”, nawet jeżeli mają zapasowy. Cóż, tacy są u nas ludzie szlachetni.

Do morza idą przez furtkę na końcu podwórza, które Ławr nazywa polaną. Kiedy za czasów rybackiego kołchozu dzielono ziemię, Ławrowi i Marii dostała się właśnie ta część ziemi. Wtedy faktycznie była to polana, jakby łąsina wśród zarośli. Na polanie stoi kurnik, chlew i koryto, jest jeszcze drewno i różne inne rzeczy, które są niezbędne na gospodarstwie. A w najdalszym kącie stoi wychodek. Kiedy Liolik był mały, nie wiedział jeszcze, że polany spotyka się też w lasach. Widział tylko tę jedną jedyną polanę u wujka Ławra, na którą prowadzi furtka, a za nią jest jeszcze jedna w obozie pionierów.

Rano pionierski obóz stoi pusty, bo o tej godzinie wszyscy jeszcze śpią. Można iść spokojnie do drewnianej drabinki, która prowadzi wprost na brzeg morza. Sto metrów dalej stoi łódka i sejf-szopa. Schowano w nim silnik marki Wicher, wiosła, kanister z benzyną i zbitą z desek kratę, którą kładzie się na dno łódki, żeby nie stłuc sobie palca o żelazne dno łodzi. Ławr zabiera silnik, na razie dla Liolika Wicher jest jeszcze za ciężki, ale pozostałe sprzęty chłopiec dzielnie tasczy na brzeg morza.